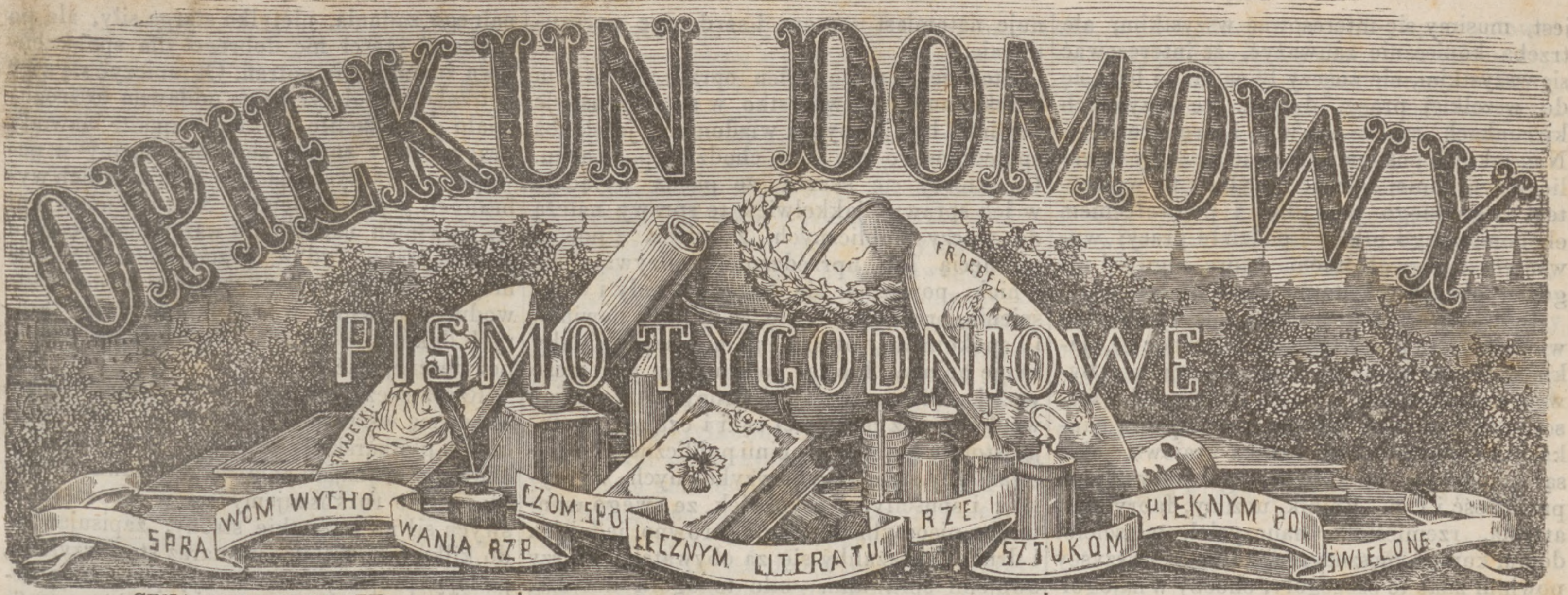
Nr. 1. Warszawa, dnia 26 Grudnia (7 Stycznia) 187³/₄ roku. Rok X.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90		
miesięcznie	„ 30	w Austryi rocznie	9 guldenów
		w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY)

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

OBYWATELSKOŚĆ.

Uczucia społeczne jednostek wtedy dopiero nabierają wartości dla ogółu, kiedy ze sfery marzycielskiej niepewności przejdą w jasną dziedzinę rozumiejącej siebie i panującej nad sobą myśli. Wówczas to z mglistych rojeń powstają pewne, dobrze określone wyobrażenia, z instynktowych popędów rozumne postanowienia, z namiętnych, zazwyczaj ślepych ciosów, które rzadko trafiają tam, gdzie trafić powinny — działanie, opatrzone nietylko myślą przewodnią, ale i środkami do urzeczywistnienia tej myśli prowadzącemi.

Wielkie, szumno-brzmiące słowa, jakie nieraz posłyszeć można, gdy rzecz idzie o uczuciach społecznych, mają zapewne tę jedną dobrą stronę, że łatwo czepiają się umysłów zapalnych i fantazyj lotnych, że zatym pobudzają je do pewnego sposobu myślenia, które dla danego społeczeństwa może być bardzo korzystnym; ale też można wnich odkryć wiele stron złych, niegodnych ani pochwały, ani naśladowania. A przedewszystkim jedną z najgłówniejszych stron złych jest to, że słowami temi dajemy się nieraz ukołysać do snu duchowego, pewni będąc, że po wypowiedzeniu albo po wysłuchaniu ich, wszystkim już naszym *obowiązkom* społecznym stało się zadość. Dlatego, żeśmy gorąco wypowiedzieli to, co nam na sercu leżało, sądzimy, żeśmy zrobili to, co w naszej było mocy. Dlatego, żeśmy uczuciu szeroko w słowach rozlać się pozwolili, myślimy, że uczucie to dostatecznie zaspokojonym zostało.

Nie! nie łudźmy się! Aniśmy uczucia nie zaspokoili, anismy obowiązków naszych nie spełnili. Cała zagadka naszego złudzenia leży tylko w pozorach. *Nie zastanawialiśmy się* głębiej nad tym, co owo uczucie znaczyć miało, nie wiedzieliśmy *dokładnie*, co było naszym obowiązkiem; i dlatego tak łatwym sposobem pozbyliśmy się ciężaru pragnień naszego serca. Jednakże wiecznie tak nie będzie; przychodzi nieraz chwila, czasami całkiem niespodziewanie, w którym żądają od nas innych oznak naszych uczuć społecznych, aniżeli słów słodkich i mile brzmiących, żądają od nas czynu. Mysmy nieprzygotowani, okoliczności naglą, decydujemy się na pierwszy lepszy projekt, na który niezadługo może utyskiwać będziemy, chociaż to będzie za późno. Zamiast się narażać na podobne zawody, czyż nie lepiej zawczasu się przygotować do wszelkich możliwych wypadków? czyż nie lepiej wiedzieć napewno, co robić potrzeba, aniżeli w braku natychmiastowego natchnienia powierzać się losowi i okolicznościom; czyż nie lepiej uczuciom swoim dać pewien stały kierunek i nie upajać się pięknym brzmieniem wyrazów, któremi je wypowiadamy?

Zdaje się, że na te pytania nikt nie zechce dać odpowiedzi przeczącej, jeżeli już w życiu doświadczył na sobie, lub na innych, niemiłych skutków postępowania, drogą wprost przeciwną.

Co w każdej danej chwili robić wypada, należy to do uznania i rozumnego namysłu każdego człowieka, każdego obywatela, gdyż niepodobna pojedyńczemu człowiekowi przewidzieć wszystkich okoliczności, wszystkich usposobień, wszystkich potrzeb, podług których czyny jednostek kierować się muszą. — Ażeby jednakże mieć ogólne, ale jasne pojęcie o zasadzie, na jakiej wszystkie pojedyńcze czyny opierać się powinny, potrzeba często się zastanawiać nad uczuciami społecznemi i nad postępkami, które te uczucia wywołać są w stanie — potrzeba sobie wyrobić pojęcie obywatelskości. Rzucając parę uwag następnych, nie myślimy wyczerpywać przedmiotu, który jest niezmierzony; podajemy tylko materyjał do rozwagi:

Chcąc być prawdziwym obywatelem pewnego kraju, należy się interesować wszystkim, co w tym kraju się dzieje, tak pod względem materyjalnym jak i umysłowym. Interesować się wszystkim!—czyż to podobna?—zawoła niejeden czytelnik, przerażony być może wymaganiem, które tutaj stawiamy. Tak

---

ŚLADY ŻYCIA.

I.

Tyle życia, ile... w czynie.

I znów cały peryjod czasu, nazwany rokiem, cały szereg nieziszczonych marzeń, bezpłodnych cierpień, spełnionych jawnie lub skrycie grzechów i zasług zaszedł za wrota ponurej świątyni pamiątek a mogił, i znów magiczne słowo „*Nowy Rok*“ przyśpiesza bicie serc, ożywia umysły i do prób świeżych pobudza... Pamiętajmy jednak, że to co minęło, zagasło tylko jako życie obecne lecz oile ma niejakie prawo bytu, żyje dziś jeszcze jako siemię przyszłości, jako wyraz, plan, pozytywne marzenie, któremu należy się odpowiednia forma w szrankach rzeczywistego świata, które wreszcie dziś lub jutro z tumanu półbarwnych myśli, wytrwałą a spólną pracą na światło dzienne wyniesione być musi. Wszystko zatym co się nam dobrego, pożytecznego [1]) pod sztandarem społecznym pomyśleć lub począć udało, nie więdnąć i niknąć przez zwątpienie i niedołęstwo nasze, lecz usilnym a nieustannym trudem rozwijać się dalej i wkrótce jeśli nie do pełnego owocu, to przynajmniej do wyraźniejszego stadyjum rozwoju dojść winno. Błędom naszym, oileśmy je sprawdzili, należy się mogiła na której niech kwieciste krzewy, płodne krzewy praktycznej myśli wyrosną. „A nikt z mogił nie korzysta, jeno wszczynający ruch...“ powiada Słowacki, niechże więc nowa myśl na czysty kruszec prawdy każdy stary błąd przetopi. To zaś, co z przeszłych prób omylnych na nową monetę życia przerobić się nie da, niech nam za względną podziałkę ruchu, za przewyższoną miarę postępu służy. Człowiek bowiem, idący po kolisto-wężykowatej drodze swego rozwoju, „nie wie“ jak słusznie powiada Julijusz, „czy bieg jego jest biegiem, czy brzeg z oczu ginie, chyba, że na tej drodze, jak milowe słupy, mija stare przesądy, zbladłe wieków trupy...“

To wszystko prawda powiecie, *nowy rok* natchnął nam pewne ożywcze myśli, podnosimy w górę wypogodzone czoła, z nowemi chęciami, z marzeniami nowemi; lecz i za ubiegłych lat było to samo... Przeczuwamy więc, że jutro, pojutrze może ostygnie gorączkowy zapał i utkniemy znów w zaklętym kole bladych *pia desideria*; jakże więc ominąć tę fatalną a ukrytą rafę, o którą się łódź naszych dobrych zamiarów peryjodycznie rozbija? Kwestyi tej Opiekun w dwu latach ostatnich niejednokrotnie dotykał. Odpowiemy jednak na nią pokrótce. Aby się piąć coraz wyżej po stromej drożynie postępu, należy przedewszystkim czuć jego potrzebę. Potrzeba ta jest już jak sądzimy dosyć obudzoną w naszym społecznym organizmie; uznały ją tysiące zdrowych i nie zgrzy-

[1]) Za dobre i pożyteczne uważamy wszystko, co się gdzieindziej przy podobnych warunkach, jako dobre i pożyteczne w skutkach okazało.

jest, musimy się interesować wszystkim; ale trzeba koniecznie zauważyć, że interesować się wszystkim, nie znaczy bynajmniej brać się do wszelkiej pracy, działać we wszystkich kierunkach, rzucać się w tę i ową stronę. — Nie, takiego postępowania nie możemy chwalić, a tym mniej zalecać. Byłoby to wywrotem wszelkiego porządku i pogwałceniem ekonomicznego prawa—podziału pracy; wywrotem i pogwałceniem, które nigdy i nigdzie dobrych rezultatów nie wydały.

Interesować się wszystkim, znaczy nietylko wiedzieć, ale prócz tego chcieć wiedzieć, jakie są bogactwa kraju i jak te bogactwa bywają zużytkowane, jak stoi przemysł, jak wysoko się wzniosła, lub jak nisko spadła nauka, jak się przedstawia sztuka krajowa, jakie są rękodzieła, jaka była tego wszystkiego przeszłość i t. p. Rolnik, uczony, fabrykant, artysta, rzemieślnik, nauczyciel, właściciel domu, kupiec, męszczyzna, kobieta—wszyscy powinni znać te szczegóły, choćby w najogólniejszych ae zawsze w dokładnych zarysach, gdyż inaczej nie będą wiedzieli, co mają ze sobą począć w ustroju społecznym, nie będą się czuli jednostką społeczną, i albo obojętni na sprawy ogółu w egoizmie ugrzęzną, albo też *przeceniając* swoje znaczenie, wynosić się będą nad innych i zamiast pomagać w pracy, bruździć tylko potrafią. Nic nie powinno pozostawać obojętnym dla obywatela, co tylko w jego kraju się wydarza, czy to złe, czy dobre, czy piękne czy brzydkie; o wszystkim wiedzieć powinien. Takich wiadomości nabrać możemy jedynie przez wzajemną wymianę myśli: zarówno w rozmowie towarzyskiej, jak i na większych zebraniach. Drugim środkiem jest literatura czasowa; czytelnicy powinni się komunikować z pismami często i serdecznie; prasa peryjodyczna powinna każdy szczegół obchodzący ogół starannie notować i z wdzięcznością przyjmować objaśnienia i wskazówki ze strony swoich czytelników. Jeżeli się pomiędzy czytelnikami i prasą taki stosunek ustali i utrwali, naówczas można będzie mówić o stanowczym wpływie czasopism na opiniję ogółu i o wyrazie ogólnego usposobienia, które się ma w czasopismach odzwierciedlać. Nieprzyjazny stosunek, jaki czasami objawia się pomiędzy niektóremi warstwami społeczeństwa a prasą peryjodyczną wziętą wogóle, lekceważenie z jednej, a zarozumiałe mentorstwo z drugiej strony znikną i zapanuje natomiast szczere i serdeczne porozumienie.

Stosunek ten powinien oprzeć się na tym przekonaniu, że wszystko w społeczeństwie powinno być jawnym i wiadomym, jeżeli toż społeczeństwo nie chce chodzić poomacku. Ci, którzy się skarżą, że pisma wglądają w ich sprawy, jakkolwiek te sprawy należą do rzeczy publicznych, że pisma z pewną niechęcią lub uprzedzeniem odzywają się o nich, poważając się dawać im rady i objaśnienia, przekonaliby się, że tak być powinno i spokojnemi objaśnieniami naprawialiby swoję opiniję, lub też podnosiliby ją jeszcze wyżej. Pisma ze swojej strony, otrzymując wiadomości z pierwszej ręki i czując, że stoją istotnie na straży opinii publicznej, nie pozwalałyby sobie zbyt ryzykownych wybryków i spuściłyby cokolwiek ze swego mentorsko-nieomylnego tonu. Zarówno, jedni jak i drudzy uważaliby się za obywateli, którzy swojemi sprawami, oile te ogółu dotyczą, zajmować się powinni; a w takim razie o nieproszonej radzie i nieproszonych gościach nie mogłoby być mowy.

Tak pojmujemy interesowanie się wszystkim, co się do kraju odnosi. Nie zabierze ono zbyt wiele czasu i nie oderwie od roboty, jeżeli pierwotne wychowanie, w którym grunt do takiego zajęcia się położonym być winien, dobrze pokierowanym zostało. Odczytując następnie pisma i książki, rozglądając się po sąsiedztwie dalszym i bliższym, obserwując bliżej i siebie i innych, nabędziemy dostatecznych wiadomości, ażeby módz... działać w społeczeństwie z korzyścią dla siebie i dla ogółu.

Tak jest: działać! — oto drugi punkt, stanowiący o wartości obywatela. Tu już nie wystarcza sama wiedza, co i jak robić potrzeba; tu trzeba chęci do roboty, chęci wpojonej za pomocą nauk, a przedewszystkim za pomocą przykładu od najwcześniejszego dzieciństwa. Tu właśnie można sprawdzić, czy ktoś jest tylko krasomówcą, czy także i działaczem, człowiekiem słowa czy człowiekiem czynu. Tu uczucia, jakie we wnętrzu naszym królują, wychodzą przed oblicze świata, przed oblicze obywateli i okazują się w całym swoim blasku lub w całej swej nędzy.

Działać nie można we wszystkich kierunkach, gdyż na to siły człowieka nie wystarczają, a ten, kto się porwie do tego niewykonalnego zadania, nietylko starga siły, ale po większej części nic dobrego dla społeczeństwa zdziałać nie potrafi. Ograniczyć się więc potrzeba. Społeczeństwo oddawna to zrozumiało i podzieliło się na rozmaite zawody pracy, które znowu ze swojej strony w pewnych stowarzyszeniach znajdują swoich wybranych przedstawicieli. Nikt nie może, ani też powinien należeć do wszelkiego rodzaju stowarzyszeń, gdyż przedewszystkim nie mógłby dobrze wykonywać prac swojego zawodu, a powtóre w innych zawodach, których dokładnie nie zna, nie zdołałby żadnej pożytecznej dać rady.

Rzecz szczególna! o ile nie lubimy interesować się wszystkim — naturalnie nie w znaczeniu plotkarskiej ciekawości, lecz—obowiązkowego obznajamiania się ze sprawami ogółu; o tyle rozkoszujemy się w rozpraszaniu swych sił na wszystkie strony, zapisując się do kilku albo kilkunastu naraz stowarzyszeń, podając projekty i rozrzucając programy. Jesteśmy przekonani, że wszystko zrobić potrafimy, co się nam tylko zamarzy, do czego nas nasza próżność podbudzi. Gdy się omylimy w rachubie, występujemy ze stowarzyszenia zobojętniali lub rozgniewani i stajemy się jego przeciwnikami. Gdy nam los poszczęści, dźwigamy na naszych barkach brzemię uginając się pod nim, niezbyt ochoczy do żwawej pracy, wolimy oczywiście spełniać obowiązki swoje pod postacią mówek i toastów.

Mniej ambitni, znajdują w uskutecznieniu dobrych swych chęci inny, równie ważny szkopuł, o który, niestety, rozbijają się wielokrotnie najlepsze zamiary mas całych. Szkopułem tym jest zapał z początku, obojętność w dalszym ciągu, zniechęcenie na końcu. Mówiliśmy o stowarzyszeniach. Ileż-to razy zdarzało się widzieć nader pocieszający objaw licznego i ochoczego garnięcia się do nich, zapisywania się na członków, rozpowiadania o tym znajomym, wróżenia najpomyślniejszych rezultatów. Zdawaćby się mogło, że naraz wielka liczba ludzi nietylko poczuła, ale doskonale zrozumiała potrzeby społeczeństwa, domagającego się koniecznie zebrań publicznych i dyskusyi otwartej i swobodnej; że pojęła skuteczność połączone, wzajemnie kontrolowanej pracy. Znaczna ta liczba po upływie kilku miesięcy zmieni a się na dość pokaźną, w dwa miesiące poty m na niezbyt małą, w rok na zaledwie wystarczającą dla białych jeszcze jednostek. Za niezbitą do uznania tego podstawę posłużyło idei postępu wykształcone do pewnego stopnia pragnienie osobistego i społecznego szczęścia, które jest podobno powszechnym celem naszej życiowej pielgrzymki. Głównym więc warunkiem rzetelnego tej potrzeby poczucia jest praca umysłowa, *sumienna* praca około wykształcenia poglądu na owo osobiste i społeczne szczęście. Ideja zatym stopniowego doskonalenia się i uszczęśliwiania jest w celu i podstawie jedną. Kto choć kilka kroków zrobił na tej drodze, ten wie, że jak szczęście i umysłowy rozwój pojedyńczych osób jest ziarnem dobrobytu i postępu społecznego, tak znowu każda zdrowa, wychowana przez społeczeństwo i dojrzała jednostka szczęście osobiste dla własnej i następców swoich korzyści w społecznym widzieć powinna. Myśl ta to zaprawdę silny bodziec tak w sprawie kształcenia własnego charakteru, jak i na arenie społecznych trudów. Na obu tych polach ważną zapewne jest *inicyjatywa*, lecz nie mniej ważną *wytrwałość*; ten zaś rzadki skarb w naszym narodzie nabyć może każdy człowiek jedynie przez usilne a ciągłe podporządkowywanie całego tłumu niższych natchnień względem trzeźwo a ustawicznie rozwijanej władzy sądzenia... *Wytrwała solidarność* wszystkich uzdolnień jednostkowego organizmu wytwarza szczęście osobiste, *wytrwała solidarność* członków jednego społeczeństwa wytwarza szczęście społeczne i jednostkowe zarazem utrwala... Starajmy się o jedno i o drugie. Reforma samych siebie oto podwalina zbiorowej i pojedyńczej pomyślności, której wszyscy pragniemy, do której dążyć słuszne mamy prawo. Na zakończenie przytoczymy cenny wyjątek z noworocznej pieśni młodego poety:

Szanujcie to, co daje nam wiek stary,
A nowej krwi dolejcie mu do żył,
Wśród waszych prac, nie próżnej słów ofiary,
Lecz więcej serc i więcej trzeba sił.

Porzućcie blichtr i cudzoziemskie maski,
Zbrójcie wasz ród w uczynków własnych moc,
Niech na nasz wiek słoneczne zejdą blaski,
Rozproszą kłam, przesądów czarnych noc.

Szanujcie skarb i mnóżcie go siłami,
A praca ta nie skrzywi waszych bark,
Lecz podły grosz niech duszy wam nie plami,
Bo serc i dusz nie wolno dać na targ.

Niech bratu brat nie kradnie prac zapłaty;
Chrystusa słów wszak już usłuchać czas,
Nie bluźnić Mu farbowanemi szmaty,
Nie kupczyć Nim na pokaz ciemnych mas.

Gdzie ducha straż, pozmieniać trzeba warty,
I wpuścić myśl i dać jej nowy bieg,
A wtedy rok siedemdziesiąty czwarty,
Skrą nowy gwiazd odnowi stary wiek.

* *
*

Podaliśmy już krótką wzmiankę o zawiązaniu się *Warszawskiéj spółki kolportacyjnéj*; ze względu jednak na ważność i żywotność tego rodzaju przedsięwzięcia, chcielibyśmy dorzucić tu jeszcze, słów kilka. Przedewszystkim zaznaczyć nam wypada, że do spółki rzeczonéj (zawiązanéj w dniu 17 grudnia r. z. przed rejenten Pyzalskim w Warszawie) przystąpiły redakcyje: Niwy, Przeglądu Tygodniowego, Opiekuna Domowego i Bibljoteki Nauk Prawnych—oraz pp. Stanisław Czarnowski, Bernard Lesman i Jan Jeleński. Zasadniczym celem spółki jest urządzenie kolportażu pism i książek, tak w Warszawie jak i na prowincyi; zakładanie, mianowicie po miastach i miasteczkach składów książek przez spółkę kolportowanych, urządzanie takichże składów na stacyjach pocztowych i stacyjach dróg żelaznych, daléj — rozwożenie owych po jarmarkach odpustach it.p. zebraniach, słowem: pro paganda *zewnętrztnéj* sprzedaży książek w najszerszym tego słowa znaczeniu. Nadto spółka przyjmować będzie wszelkie komisy na prenumeratę pism, książek etc. Kantor Spółki mieści się obecnie przy ulicy Chmielnéj Nr 8 nowy; na zarządzającego zaś obranym został p. Czarnowski, do którego

zadośćuczynienia wymaganiom ustawy. Wówczas to dają się słyszeć takie zdania: „*z powodu niedość licznego i niedość wczesnego zgromadzenia się stowarzyszonych*“, *narady nie mogły przyjść do skutku*; albo: „*większa część członków głosowała przez posłannictwo*,“ albo tym podobne. Członkowie na naradach nudzą się, nie chcą słuchać objaśnień i sprawozdań, zatwierdzają wszystko ryczałtem, powiadają nawet, że mniejsza o rachunki, byle interes szedł świetnie”.

Jakież znaczenie mają ci członkowie, którzy wszedłszy do jakiegoś stowarzyszenia, nie chcą mieć w nim głosu, nie chcą w nim wspólnie działać, zrzucając wszystkie trudy i kłopoty na barki tak zwanego „zarządu”? Jeżeli stowarzyszenie składa się z 1000 osób, a na zgromadzeniach pojawia się osób 100 lub 200, to czyż może być mowa o istotnym wyrazie przekonań stowarzyszonych w uchwałach tego zgromadzenia? Nie! zaiste, jest to niesłychane nierozumienie nietylko obowiązków ogólnych, ale i interesów własnych. Gospodarskie przysłowie, że „pańskie oko konia tuczy” nie przestaje być prawdziwym, jeżeli je do innych zawodów lub do stowarzyszeń zastosujemy. Każdy członek nie przychodzący na zgromadzenia, jest martwym członkiem; właściwie mówiąc, nie istnieje wcale jako stowarzyszony. Czy myślicie, żeście spełnili swój obywatelski obowiązek, zapłaciwszy wkładkę i raty? Wszakże działanie spólne miało być waszym hasłem — a wy się teraz usuwacie, kiedy potrzeba nad stanem interesów towarzystwa obradować!...

Usuwacie się może dlatego, żeście niezdolni do działania? Nie! do tego nigdy się nie przyznacie—i owszem, mówicie czasami, że niema co robić na zgromadzeniu, że wszystko idzie utartą rutyną, że członkowie zarządu niby obieralni, stają się niemal dziedzicznemi, że w takim składzie rzeczy wasz głos żądający reformy nie wieleby ważył. Ach! jeżeli tak jest, to idźcie na zgromadzenie, połączcie wasze głosy, będziecie w większości, gdyż stronników rutyny zebrało się właśnie 100 lub 200 i przeprowadzicie reformę. Fałszywa skromność nie jest tu na miejscu. Rozumiecie rzecz lepiej, możecie śmiało głos zabrać, a nie jesteście przecież takiemi pesymistami, żebyście utrzymywać chcieli, że głosu prawdy i słuszności nie usłuchają! Wszakże wszystkich godziwych środków potrzeba używać, ażeby prawdę wyświetlić i dobru zapewnić zwycięztwo; wy moglibyście jego szalę przechylić na stronę pomyślności stowarzyszenia, a jednakże siedzicie spokojnie w domu!... Dyskusyja jedynie może się przyczynić naprzód do wyrozumienia istotnego stanu przekonań, a powtóre, do najlepszego oznaczenia kierunku, w jakim interesy społeczne mają być prowadzone. Gdyby się nawet porobiły z tego powodu stronnictwa, nic to nie szkodzi; owszem, interes ogólny zyska na tym, jeżeli naturalnie podstawą, o którą stronnictwa owe się oprą, będzie prawda i chęć ogólnego dobra, nie zaś prywata i pokątne knowanie na rzecz własnego i wyłącznie własnego tylko interesu. Zarząd nie może brać za złe stowarzyszonym, jeżeli czynności jego ściśle kontroluje, boć przecie zarząd ten wyszedł z łona stowarzyszonych i również nic innego nie może, a przynajmniej nie powinien mieć na widoku, jak dobro jedynie stowarzyszenia. Stowarzyszeni zaprowadzając kontrolę i poddając krytyce czynności zarządu, nie czynią mu ujmy — wykonywają tylko swoje prawa, które razem z zarządem za obowiązujące wszystkich jednozgodnie uznali.

Lecz, ażeby to mogło być z pożytkiem dla ogólnych spraw stowarzyszenia dokonanym, potrzeba dwu ważnych rzeczy: 1-o, ażeby nikt nie zapisywał się na członka stowarzyszenia, z którego przyszłemi interesami nie jest dobrze obeznany, gdyż inaczej albo musi milczeć i nic nie robić, albo też zabierać czas pustą gadaniną, która nikogo nic nie nauczy. Powtóre, potrzeba wytrwałości w działaniu, którąby się nie zraziła przeszkodami, którąby powoli ale bez przerwy dążyła do raz obranego celu; jednorazowe gwałtowne wybuchy nie na wiele się zdadzą — roznamiętnią tylko umysły, co nie jest wcale rzeczą pożądaną tam, gdzie potrzeba jasno i trzeźwo *rozważać*. Każdy wedle sił swoich i możności powinien się do tego przyczyniać, ażeby taka rozwaga była jak najdokładniej obmyślana. Kto się usuwa z błachych powodów od tej pracy trudnej, ale pożytecznej, ten nie spełnia swych obywatelskich obowiązków.

Na zakończenie, zwrócimy uwagę wszystkich, że w pewnych wypadkach, stowarzyszenia interesom materyjalnym, albo nawet przeważnie zabawie poświęcone, są jedynym polem, na którym można wypróbować swe siły w swobodnej rozprawie i przygotować się do życia na szerszą skalę. Nie należy więc opuszczać ani jednej sposobności, w której życie rodzinne rozszerza się i zaczyna przechodzić w istotne życie społeczne. Kto sposobność tę zaniedbuje, ten traci jeden środek potężny, prowadzący do urzeczywistnienia choć w części ideałów życiowych, które sobie wymarzył, lub też jasno w umyśle określił. Nie zakopujmy talentów swoich w ziemię, azeby ich nie stracić, wiemy przecież, że talent może procentować. Zużytkujmy znany nasz talent krasomówstwa w sposób pożyteczniejszy niż dotychczas; niech się nie przemienia w gadulstwo lub szczebiot, lecz niech do działalności zagrzewa!....

NIEZNAMIEROWICE I STUDZIANNA.

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

I.

W piaszczystej i dzikiej okolicy, w powiecie opoczyńskim, na prawym, dość w tym miejscu wyniosłym brzegu rzeki Drzewiczki, leży wieś Nieznamierowice, zabudowana w kształcie niby miasteczka, z rynkiem czworobocznym i ulicą, na końcu której stoi kościół drewniany, świecący kopułką z białej blachy, starannie i czysto utrzymany. Za kościołem, wśród drzew, skromna maleńka plebanijka, przy której parę gospodarskich budyneczków i ogród pełen kwiecia na grządkach, oraz drzewiny obrastającej stoczysty brzeg ku rzece [1]. Stąd rozległy i piękny widok na piaski, moczary, zarośla i las niziną w oddaleniu ciągnący się za rzeką, która wije się tu wśród białych piasków tak jałowych, iż miejscami nawet zdziebełko trawy, mimo wilgoci rzecznej nie wyrasta. Widokowi temu, dość jak możecie uważać smętnemu, towarzyszy ustawiczny łomot i kołatanie w dole ku rzece, wychodzące z czarnej kuźni przy moście, którą trzyma żyd, przekuwający tu stare zużyte żelaztwo, i lichym stąd wyrobem zaopatrujący gospodarskie potrzeby włościan okolicznych.

Na drugim końcu wsi, również ponad

[1] Mieszkał tu ksiądz Jan Wacławski, znany autor mnóstwa powiastek, umieszczanych w czasopiśmie ludowym „Zorza“, w Warszawie wychodzącym.

wszyscy, pragnący wejść w stosunek ze Spółką wprost zgłaszać się mogą.

A teraz jeszcze słówko...

Nad praktycznym znaczeniem tego rodzaju przedsięwzięcia nie potrzebujemy się rozwodzić; znaczenie to bowiem, wobec streszczonego powyżej celu spółki, przemawia samo za sobą. Dość zresztą, choćby powierzchownie spojrzeć na ustrój księgarskiego handlu, by przyznać, że kolporterstwo rozwinięte na szerszą skalę ma wszelką racyją bytu, że co więcéj, jeżeli kiedy, to dziś nadewszystko wobec budzącego się coraz silniéj umysłowego ruchu, wobec mnożenia się z każdą chwilą prawdziwie pożytecznych i do kolportacyi najodpowiedniejszych, bo zeszytowych wydawnictw, przedsięwzięcie o jakim mowa zdaje się być rzeczywistą, nieodbitą i najpilniejszą potrzebą. Handel też nasz księgarski, zogniskowany głównie w Warszawie, zasklepiony w nieruchoméj rutynie, zdaje się głośno już dopominać o wyrwanie go z tego tak zacieśnionego koła, o rozprowadzenie go po wszystkich najciaśniejszych zakątkach kraju, dla rozbudzania życia umysłowego tam, gdzie go dziś tak jeszcze niewiele, a tak wiele potrzeba. Spółka kolportacyjna warszawska pierwsza podjęła téj natury zadanie. Niezależnie atoli od działalności saméj spółki, potrzeba tu nadto czynnego poparcia i współdziałania ze strony myślącego ogółu a wszczególności ze strony małomiasteczkowéj inteligencyi. To też nie wątpimy ani na chwilę, że ta ostatnia pośpieszy chętnie *z przyjęciem agientury*, że tym sposobem i na tym mianowicie polu jednocząc korzyść własną z interesem ogółu, ludzie tacy staną się dzielnemi promotorami... prowincyjonalnego światła.

* * *

Ktoby chciał się dowiedzieć, co to jest tradycyja, jaka to jest „potęga tradycyi i czym nareszcie tradycyja staje się przy prowadzeniu interesów bankierskich, niech przeczyta, rozmazywany od pewnego czasu po różnych pismach, nekrolog poświęcony niby to pamięci i cnotom zmarłego bankiera Maurycego Nelkena, a właściwie *zazbyt śmiałą* reklamę dla tych samych ludzi, którzy nieboszczyka w pracy wyręczali i którzy obecnie obejmują prowadzenie interesów” Autor reklamy téj pan L. W. potrącając w każdym wierszu o tradycyje ex re cnót p. Nelken z całą naiwnością wyśpiewuje: „Nelken pierwszy w Warszawie nauczył posiadaczy drobnych kapitalików ciągnąć z nich zyski (ale kto ciągnął?!) przez nabywanie procentujących papierów publicznych. Nelken dopiero odsłonił ten sposób postępowania i wyjaśnił go (???) w szeregu ogłoszeń, których zbiór całkowity pod pewnym względem stanowi kurs nauki bankierskiéj.” (!?) Jeżeli pan L. W. sądzi, że i dziś jeszcze w podobny sposób żartować sobie można z dobréj wiary ogółu, że w ogół ten można wmówić, jakoby owe ogłoszenia o pożyczkach premijowych, (przeciwko którym w swoim już czasie słusznie i ostro występowały niektóre organy prasy) miały stanowić w istocie tak wielką zasługę i tak wielką naukę—i jeżeli p. L. W. szumne swoje reklamy uważa za nowy sposób cnoty swojéj wekslarskiéj, to uprzedzić go winniśmy, że grubo co do tego się myli. Dziś już bowiem ogół coraz jaśniéj pojmuje dobroczynność (??) owych premijowych operacyj, i każdy sumienny organ publiczny ostrzeżeniem właściwym reklam i wystąpień podobnych tolerować nie może. Dziś idzie o jak najbardziéj produkcyjne użycie owych drobnych kapitalików, o ich zespalanie na polu wytwórczéj pracy, nie zaś o zapychanie niemi bankierskich czy wekslarskich kantorów, ku wiecznéj, *tradycyjnéj* tych ostatnich sławie (??!).

* * *

Wiadomo powszechnie (piszą ze Lwowa), że

rzeką, stoją dwa czy trzy długie budynki folwarczne, murowane, z domem mieszkalnym, pod słomą, bez drzew, bez cienia, nieprzyjemnie rażące oko tą golizną.

Nic tu—jak widzicie—niema godnego uwagi i opisu a jednak przeszłość tego zakątka miała swoje niegdyś piękniejsze dni, mogące dać wątek opowieści dla domowego historyka i poety.

Z przeszłości tej nic tu jednakże nie zostało, chyba sama miejscowość i jej nazwa; wszystko legło w zniszczeniu, wszystko się odmieniło, i ktoby się domyślił z garści jakiegoś prochu nikczemnego, jaką koleją spłynęło życie i jaki duch ożywiał tych ludzi i owe czasy, po których zostały dziś tylko nędza i popiół!...

Kąt Opoczyńskiego, po obu stronach rzeki Drzewiczki położony, do Pilicy, odznacza się piaskami i glebą ziemi nienazbyt urodzajną. Natura jakoby upośledziła tę część kraju naszego, skąd i znane przysłowie: „Opoczyńskie kraje“ etc.

Jednakże jeżeli w przysłowiach mieścić się ma, jak powiadają, mądrość narodów, w tym razie mądrość z prawdą nieco się rozminęła. Są tu znaczne przestrzenie i zaspy piasków suchych i najzupełniej jałowych, których też nikt nie tyka; ale nie brakuje i ziemi urodzajnej, na której trud rolnika sowicie się wynagradza. Dziś ta część kraju naszego jeszcze należy do dosyć ludnych, a stosunkowo i zamożnych; przed laty jednak trzystu, a nawet i na lat pięćset w tył, te strony wrzały życiem, ruch tu był wielki, bogactwo niepośledni. Wsie jedne po drugich zamieniały się na miasta, zakładały się fabryki, fryszerki, papiernie, młyny, browary; pieniądz płynął, za który budowano z kamienia i cegły wspaniałe przybytki Pańskie, będące dotąd pamiątką owych czasów. Więc też i dworców pańskich i dworków szlacheckich w tej stronie było gęsto.

Wowych to czasach, Nieznamierowice były gniazdem zacnego i zdawna zasiedziałego tu rodu Starołęskich.

Stara książka kościelna, przypadkiem dotąd ocalała, należąca do istniejącego tu niegdyś arcybractwa różańcowego, opowiada, że około r. 1500 Starołęscy fundowali w Nieznamierowicach kościół parafijalny, który pierwiastkowo znajdować się miał w pobliskiej wsi Gałkach, czyli Andrzejowie, o czym i księga beneficyjów Jana Łaskiego z r. 1521 nadmienia: „iż gdy dziedzice tutejsi wystarali się, aby wieś Nieznamierowice była miastem, przeto takowy kościół parafijalny z wsi Gałki czyli Andrzejowa, za dozwoleniem zwierzchności, przenieśli do miasta Nieznamierowic, a wsi Gałkach czyli Andrzejowie pozostało się tylko oraculum ligneum, pod tym samym tytułem jak kościół w Nieznamierowicach Ś. Andrzeja Apostoła.

Mylna to jednak wiadomość; mamy bowiem w ręku dowód autentyczny, iż w *miasteczku* Nieznamierowicach kościół parafijalny egzystował już w r. 1440. Gdy zaś wiadomo nam z dokumentów kościoła Drzewickiego, że w r. 1321 *wieś* Nieznamierowice zaliczoną była do nowo natenczas, przed kilku laty erygowanej parafii Drzewickiej, którą pod tymże rokiem opisał Janisław arcybiskup gnieźnieński, w przywileju wydanym w Kurzelowie, przeto tak zamianę tejże wsi na miasto, jakoteż zaprowadzenie tu parafii, prawdopodobnie odnieść należy do końca wieku XIV lub pierwszych lat XV, który to czas był rzeczywiście dla powiatu opoczyńskiego epoką wzniesienia i uposażenia wielu kościołów parafijalnych, oraz wyniesienia wielu wsi do rzędu miast, przez nadanie im prawa magdeburskiego lub miejskiego.

Zatym w odległą przeszłość sięga kolebka Starołęskich, a pierwsze lata wieku XVII zastały ich w miejscu, od wieków, zasiedziałemi. Należeli też do pierwszych rodzin okolicznych, wchodząc w nieladajakie parentele.

Właśnie około r. 1620, młody pan w Nieznamierowicach Albrycht Starołęski, natenczas Starosta Piotrkowski, sprowadził do domu małżonkę, którą pojął w jednym z najpierwszych domów senatorskich, dostał bowiem za żonę Katarzynę córkę Maksymilijana Przerębskiego kasztelana, a następnie wojewody sieradzkiego. Wszedł zatym przez stosunki familijne między najpierwszych panów polskich, albowiem teść jego, obok świetności własnego rodu, zajmującego najpierwsze w kraju dostojeństwa, ożeniwszy się powtórnie około tegoż czasu z Anną Mohilanką, wdową po zmarłym Janie Sędziwoju Czarnkowskim kasztelanie kaliskim, skoligował się przez siostry żonine z Wiśniowieckiemi, Koreckiemi, Potockiemi i Firlejami, za których powychodziły wszystkie córki hospodara Mołdawii Jeremijasza Mohiły.

Młoda pani Katarzyna, córka z pierwszego małżeństwa Maksymiljana Przerębskiego, była niewiastą bogobojną, — przywykła jak wszystkie ówczesne polki — do pobożności, do życia prawie klasztornego. Dzieckiem jeszcze, modliła się codziennie przed pięknym obrazem przedstawiającym Chrystusa Pana, w młodzieńczych latach, ucztującego przy stole z Najświętszą Matką i Świętym Józefem. Przenosząc się później w dom mężowski, zabrała i obraz ten, przed którym nie jedno westchnienie do Pana Zastępów zasłali wspólnie małżonkowie. Na instancyją jej i za staraniem Albrychta Starołęskiego, zawiązane też zostało w r. 1625 przy kościele nieznamierowickim wspomniane arcybractwo do którego młodzi małżonkowie zapisali się jako protektorowie, wraz z Andrzejem Drzewickim z Drzewicy, oraz paniami Anną Drzewicką i Elżbietą.

Nieznane nam są szczegóły dalszego pożycia Starołęskich, wiemy tylko, iż około r. 1642 Starosta był już wdowcem. Ale był jeszcze w sile wieku; więc przy dostatniej fortunie, bez trosk codziennych i kłopotów, nie mógł w smutku i samotności długo wytrwać.

W owym czasie, a mianowicie w pierwszej połowie wieku XVII, było jak w całym kraju, tak samo i w Opoczyńskim, domów szlacheckich bardzo wiele. Zasiadłe od wieków, jedne bogatsze, drugie uboższe, jedne głośniejsze drugie mniej znane, rozmaitą koleją losów—jedne wynoszące się na dygnitarstwa, drugie znów z wyżyn dawniejszych, z karmazynów, schodzące pod skromną strzechę, do kapoty. Jak to pomiędzy ludźmi: dziś na wozie, jutro pod wozem, — jak Bóg da.

W tej przeto stronie Opoczyńskiego siedzieli między wielu innemi: Drzewiccy w Drzewicy, ród przedtym znaczeniem i bogactwy znakomity, który jednakże dobiegał swego kresu; obok nich Starołęscy, przedtym mniej znani, ale obecnie przez Albrychta sięgający parentellami między najpierwszych panów polskich, w Gowarczowie krewniacy

---

wzrost oswiaty—najwyższa narodów potęga—zawisłym jest w znacznej części od dobrych dzieł naukowych. Od lat kilku, kiedy wychowanie młodzieży naszej na właściwe zwrócono tory i nadano mu cechę narodową, czyniono luźne zabiegi, aby młodzież naszę zaopatrzyć w stosowne dzieła szkolne i pomocnicze; — ale usiłowania te mogły tylko w części odnieść skutek, bo brak im było poparcia ze strony całego społeczeństwa i brak odpowiedniej organizacji i podziału pracy. Jest tedy zamiar ze współudziałem zacnych obywateli zawiązać: „Towarzystwo do nakładania polskich książek—szkolnych i naukowych”. Towarzystwo oparte być ma na niewielkich udziałach pieniężnych. Cele Towarzystwa byłyby: 1. Systematyczne wypełnianie braków w literaturze szkolnej; 2. oile środki pozwolą, nakładanie dzieł pomocniczych i naukowych dla nauczycieli, kandydatów zawodu nauczyciel skiego i wykształconej publiczności; 3. nakład na dziełka dla biblijoteki szkół ludowych; 4. takie uorganizowanie przedsiębiorstwa literackiego, aby udziały szczególnym członkom odpowiednie zyski przynosiły. Konferencyja wzmiankowana odbyła się wczoraj i postanowiono przedewszystkim ułożyć statut projektowanego Towarzystwa

Poufna konferencyja nad tym przedmiotem była 9 listopada 1873 r. nader liczna, bo zebrało się około 80 osób, pomiędzy którémi wielu członków krajowej Rady szkolnéj. Uznano jednogłośnie potrzebę zawiązania takiego Towarzystwa na podstawie ustawy o „spółkach zarobkowych”, a komitet założycieli ma bezzwłocznie zebrać kommisyją do ułożenia statutów.

Do założycieli należą. pp. Dr. Karol Benoni, Dr. Teofil Gerstman sek. nau. ped., Adam Kuliczkowski następ. sem. naucz., Józef Pajączkowski dyr. tow. kred. ziem., Dr. Czesław Rodocki dyrek. szkoł. nauk., Tadeusz Romanowicz dyr. biura stały., Dr. Zygmunt Samolewicz prof. gim., Dr. Tomasz Stanecki prof. przy uniw., Karol Wild księgarz, Dr. Władysław Zajączkowski prof. techniki, Dr. Wiktor Zbyszewski dyr. banku włośc: i od robot, Dr. Alfred Zgórski prof. szkół real., Franciszek Zima dyr. kasy oszczęd.

* * *

Wśród ogólnego jakoby umysłowego ruchu—wśród głośnych nawoływań do nauki i zdrowej ekonomicznej pracy—odezwa „Ekonomisty” pomieszczona na ostatniej stronicy dzisiejszego numeru Opiekuna, dźwięczy smutną nutą — stając jakby uparty świadek naszej charakterystycznej apatyi na polu ekonomicznej wiedzy—naszej powierzchowności i krótkowiedztwa—odnośnie do potrzeb i spraw ekonomicznych, których—jedynym jak dotychczas organem, jest właśnie czyniący owę smutnie brzmiącą odezwę „Ekonomista.“ Jedyny to na kraj cały organ ekonomisty. Zdawałoby się więc, że jeżeli kiedy, to dziś nadewszystko wobec bliższego jakoby rozpatrywania naszych miejscowych potrzeb, „Ekonomista” zyskiwać winien coraz szersze, ogólniejsze uznanie i poparcie, a coraz trwalszą rękojmią bytu. Tymczasem posłuchajmy co nam na to odpowiada odezwa: „Rok 1874, powiada Redakcyja, uważamy za ostatni rok próby. Nie mamy powodu taić, że dotychczas nie szczędząc trudów i pracy, wydawaliśmy „Ekonomistę” kosztem znacznych stosunkowo ofiar materyjalnych, tak ze strony samego redaktora, jako też osób, które w poczuciu obywatelskiego obowiązku, do wydawnictwa rękę przyłożyć zechciały, jedynie w tym głębokim przeświadczeniu, iż wobec wymagań, specyjalny organ ekonomiczny jest niezbędnie potrzebny dla naszego kraju. Jeżeli jednak ogół naszego poglądu podzielać nie chciał i *w ciągu roku przyszłego nie poprze czynniej niż dotąd* naszych usiłowań, wypadnie nam *zawiesić wydawnictwo, jako widocznie przedwczesne*” etc.

A więc ogół nasz, ów ogół wchodzący niby to na drogę postępowej pracy, istnienie „Ekonomisty“ miałby w rzeczy samej za przedwczesne uważać?! Doprawdy—więcej

tych Śmigielscy piszący się z Bnina [1]), około Przysuchy Duninowie, Karwiccy w Karwicach [2]). Wąsowicze także Duniny w Smogorzowie [3]), Goździkowscy w Goździkowie, Radziątkowscy, Gawrońscy piszący się Rawami—ku Przytykowi krewniacy Starołęskich Podlodowscy, w Sulgostowie mieszkali natenczas Sulgostowscy także Duniny, w Odrzywole dosyć jeszcze zamożni, ale nadzwyczaj rozrodzeni i przez to wkrótce zdrobnieli Odrzywolscy, w Ossym Potrykowscy—ku Inowłodzowi znów we wsi Studzianne, mieszkała w tym czasie młoda pani, Konstancyja wdowa po zmarłym przedwcześnie Stanisławie Zbąskim dzielnym wojaku [4]), Przyjemska z domu.

Owdowiały pan Albrycht miał gdzie w osamotnieniu szukać rozrywki i zapomnienia; żył z panami bracią, choć niżéj od niego chodzącemi, rosł też w znaczenie u szlachty, jednając sąsiedzkie spory i niesnaski [5]).

Nie wystarczało to dla niego,—więc w jakiś czas po śmierci żony, skierował swe afekty ku młodéj wdowie, w dość bliskim sąsiedztwie mieszkającéj. Pani ta, wychodząca ze świetnego domu senatorskiego, była jak się zdaje córką Stanisława z Przyjmy Przyjemskiego, który za Władysława IV-go był marszałkiem nadw. kor. i gienerałem wielkopolskim [6]), — mieszkała po śmierci męża z dwojgiem małych dzieci, córeczką Anną [7]) i synem Janem Stanisławem, który po dojściu do lat, poświęciwszy się stanowi duchownemu, wyszedł na znakomitego w kościele i w rzeczypospolitéj dostojnika.

U wdowy, jak powiadają, chleb gotowy, wdzięcznie też powiodły się staroście afekty. Ożeniwszy się powtórnie, dostał żonę jakiej może niejeden mu pozazdrościł, bo i fortuny nie ukrzywdził, wziąwszy, jak to mówiono, wdówkę ciepłą, i zyskał nowe plecy u dworu, które go wkrótce na kasztelanciją Żarnowską posunęły. Wreszcie nowa pani oszczędna a gospodarna, jak wszystkie wówczas polki, poprawiła domowy ład. Tak samo jak pierwsza żona kasztelana, powzięła szczególne nabożeństwo do pięknego obrazu, przez tamtę w dom Starołęskich wniesionego. Codziennie przed nim, wraz z dziećmi zanosiła gorące modły, wzywając opieki Św. Józefa. Patrząc na te modły matki, w których sam uczestniczył, Jasio Zbąski, głębokie, do końca życia niewygasłe zachował stąd wrażenie, którego pamiątka trwa aż dotąd we wspaniałéj świątyni i w prześlicznéj tradycyi obrazu Studziańskiego.

[1]) Adryan Śmigielski zmarły r. 1616, piękny ma nagrobek w kościele opoczyńskim, gdzie także spoczął zięć tegoż Załuski.

[2]) Dotąd dotrwali, tych piękny pomnik grobowy z r. 1623, odznaczający się ładną ornamentacyją w płaskorzeźbie, również znajduje się w kościele opoczyńskim.

[3]) Zasiedzieli od wieku XIII, jeżeli nie dawniej jeszcze, zwani pierwotnie Wąsami z Smogorzowa.

[4]) Był synem Abrahama Zbąskiego Ciświckiego. szremskiego kasztelana i Elżbiety z Ziemblicz Boguszównej, nagrobek miał w Kocku postawiony r. 1642. Patrz w Niesieckim.

[5]) Mamy właśnie pod ręką komplanacyją graniczną, zawartą w Senegorzowie dnia 14 Czerwca 1641 roku „Przez środek i wynalazek Ich Mśćw Panów Przyjaciół spólnie na to za rozumem Jego Mści Pana Olbrachta Starołęskiego starosty piotrkowskiego wysadzonych“ — między Bernardem i Krzysztofem Wąsowiczami z Smogorzewa, a Krzysztofem i Stanisławem Goździkowskiemi z Goździkowa, na któréj jest sześciu Wąsowiczów, dwu Gawrońskich i dwu jeszcze innych przyjaciół niebardzo czytelnie podpisanych.

[6]) Zmarł r. 1642 jak podaje Niesiecki.

[7]) Wyszła póżniéj za Cieciszowskiego. Drugi syn Konstancyi Zbąskiej, a trzeci z rodzeństwa dzieckiem zmarł.

Z ŻYCIA POETÓW.

Życie poetów to rozmaitość w rozmaitości.... to cierpienie częstokroć niezrozumiane, a prawie zawsze przez małą tylko garstkę ludzi podzielane!... to poezyja, na arenę codziennych wypadków przeniesiona!...

Poeci inaczej myślą, inaczej czują, inaczej kochają, inaczej postępują, aniżeli ludzie powszedni!... Szczęście czy nieszczęście, radość czy smutek, miłość czy rozpacz — wszystko inną przybiera postać, skoro tylko do duszy poety się przybliży i w niej zamieszka!...

Takie były mniej więcej przed niedawnemi czasy przekonanie ogółu, takie są jeszcze dziś przekonania większej części ludzi, gorąco interesujących się literaturą, a w szczególności poezyją. Czy one są prawdziwe czy nie, nie myślimy z góry decydować. Obieramy inną drogę. W szeregu obrazków, zdjętych z życia poetów, podług autentycznych świadectw, zamierzamy zapoznać publiczność czytającą z tym światem wpół-tajemniczym, wpół-znanym, którego główną cechę w pospolitym mniemaniu stanowi aureola nadzwyczajności. Chcielibyśmy mieć przedewszystkim naszych własnych poetów na oku, bo, zdaniem naszym, to co najbliższe jest najciekawszym i najgodniejszym poznania. Zanim jednak przystąpiemy do kreślenia zdarzeń z życia naszych poetów, do których zresztą materyjały są w dość szczupłej liczbie, zapoznamy czytelników z kilku cudzoziemcami, mającemi wielki wpływ na naszych wieszczów; a czynimy to tym chętniej, że życie tych cudzoziemców pozwoli nam zajrzeć trochę głębiej w ducha epok, w których żyli— i zrozumialszym uczyni to, co o naszych mówić będziemy.

I.

Gotfryd August Bürger.

(Życie romantyczne).

Szczególne-to widowisko przedstawia życie literackie, a zarazem i społeczne w Niemczech, w trzech ostatnich dziesięcioleciach XVIII-go wieku! Jakaś gorączka, jakiś szał porwał ludzi do szukania ideałów, do próbowania reformy, do życia zapełnionego nieustannemi a niby zawsze ognistemi wzruszeniami! Gorączka ta nie popychała niemców do ruchów gwałtownych na większą skalę, w sferze życia państwowego;—jak we Francyi, nie ograniczała się tylko życiem domowym, kółkiem rodziny i bliższych znajomych. Biorąc początek w umysłach młodzieży, trwała dość długi okres lat i przechodziła, szczególniej u kobiet do późnej starości. Nawoływanie do życia naturalnego, które Rousseau w Emilu z tak wielkim skutkiem zaintonował, że w całej Europie echo znalazło, uwolniło wiele młodych małżeństw od nadzoru nad dziećmi, a dało im czas do szukania przygód miłosnych... Gorąca, wieczna miłość, którą tenże Rousseau w „Nowej Heloizie“ w jaskrawych a sympatycznych przedstawił barwach, znalazła najwierniejszych kopistów w Niemczech, gdzie się połączyła

---

jak smutny to objaw! I to tymbardziej, że świadczy on nie tylko o obojętności samego czytającego ogółu, lecz niemniej, jak to widzieć można z licznych i stereotypowo powtarzanych wezwań „Ekonomisty“ o nadsyłanie mu prac odpowiednich, objaw powtarzamy podobny nie przemawia bynajmniej i na korzyść naszych pisarzy-ekonomistów, którzy o istnieniu i potrzebie „Ekonomisty“ zapominać się zdają.

Bądźcobądź nie chcemy ani na chwilę wierzyć, że rok ten dla jednego z najpotrzebniejszych organów, miałby być rokiem ostatnim;—nie chcemy wierzyć—że myślący nasz ogół, tego co z najdroższemi jego interesami tak ściśle się wiąże — to jest potrzeby racyjonalnego kształtowania się ekonomicznych stosunków kraju, miałby w istocie i na seryjo się wyrzec!

* *
*

Duch stowarzyszeń—przybierając nareszcie u nas coraz więcej wyraziste formy, przenika w sferę najżywiej ich jak obecnie potrzebującą, bo w sferę produkcyjnej, rzemieślniczej pracy. Przed tygodniem donosiliśmy o zawiązaniu się w Warszawie spółki krawców — dziś witamy *stowarzyszenie ślusarzy*, którego ustawa opracowana przez jednego z tutejszych adwokatów—pozyskała już zatwierdzenie władzy.

Działalność nowej tej spółki daje się streścić w następujących zasadniczych punktach:

Uczestnicy spółki urządzają wspólny skład dla sprzedaży wygotowanych przez nich wyrobów. Ceny praktykowane w składzie mają być co do wysokości oznaczone przez biegłych.

Spółka w razie żądania udzielać będzie właścicielom wystawionych na sprzedaż wyrobów, odpowiednie zaliczki, „nieprzewyższające dwu trzecich wartości oznaczonej przez biegłych, na termin półroczny, po upływie jednak którego, w razie gdyby w tymże czasie wyrób nie został jeszcze sprzedanym — zarządzający spółką ma prawo przedłużyć czas zwrotu zaliczki do jednego roku.

Z sumy otrzymanej ze sprzedaży wyrobów, jedna dziesiąta część (komisowe) idzie na korzyść spółki— dziewięć zaś dziesiątych przechodzi do funduszu stowarzyszonych.

Członkiem spółki zostać może każdy rzemieślnik-ślusarz, za złożeniem jednorazowego wkładu rs. 50 i wpisowego rs. 2 kop. 50. Wkłady mogą być wnoszone ratami miesięcznemi po rs. 3, lub też kwartalnie po rs. 9.

Nie potrzeba być zbytecznie wtajemniczonym w dzisiejsze nasze przemysłowo-handlowe stosunki, by nie zgodzić się odrazu, że spółka ślusarska jak i wiele innych tej natury i zadania instytucyj, ma niezawodną szansę rozwoju. Dziś wyroby ślusarskie w znacznych jeszcze stosunkowo ilościach nam i Cesarstwu zwłaszcza, dostarcza zagranica, o czym świadczą wykazy kolejowe, obejmujące przedmioty przewożone *transito*. Jedną z najważniejszych ku temu przyczyn, jest brak składu wyrobów ślusarskich w Warszawie, w skutek czego nabywcy zodległych gubernij nie mogąc robić zamówień hurtowych u nas—dopełniają takowych u naszych sąsiadów. Nie wątpimy więc, że nowa spółka na zmianę takiego stanu rzeczy wpłynie praktycznie, że tym sposobem obok własnych zysków—da nadto impuls do rozwoju jednej z ważniejszych gałęzi naszego rękodzielniczego przemysłu.

* *
*

Warszawie przybywa nowa instytucyja.— Jest nią *lecznica homeopatyczna*. Zakład ten urządzonym został w celu *a)* dania publice możności leczenia się sposobem homeopatycznym; *b)* stosowania w praktyce tego systematu we wszystkich chorobach tak wewnętrznych jak i zewnętrznych. Czy świeży ten zakład wywołany został rzeczywistą potrzebą i czy znajdzie on się jak to mówią na czasie, nie chcemy przesądzać; wiemy tylko o tym, że *wiara* w cudowność homeopatyi nie ustaliła się u nas jakoś dotychczas i prawdopodobnie nie rozkrzewi się zbytecznie. Oby więc lecznica homeopatyczna nie znajdując stałego gruntu, nie doznała jakiegoś niewesołego losu...

jeszcze z właściwą plemieniu niewiast teutońskich sentymentalnością!... W owych to czasach pojawiły się „Cierpienia młodego Wertera" (1774), które spowodowały kilkudziesięciu niemców do zakończenia smutnej pielgrzymki życia samobójstwem; w owych-to czasach wystąpili na scenę „Zbójcy" (1781), którzy w młodzieży niemieckiej obudziły naśladownictwo pełne wiary i zapału!... Niemcy okres ten życia nazywają „Sturm und Drang-Periode," okresem *burzy* i *szamotania się*, dążenia gdzieś w nieskończoną dal..... Okres ten wyrobił właściwe sobie i bardzo charakterystyczne usposobienie— usposobienie *romantyczne*. Usposobienie to pełne naiwności, zapału, niczym ostudzić się nie dającego w chwili swojego wybuchu, pełne przesady w słowach, niestałości w dalszym swoim przebiegu, nigdzie może dobitniej się nie przedstawiło jak w listach miłosnych, pisanych przez romantyków. Tu już nie może być mowy o umyślnym egzagierowaniu uczuć dla wywołania większych efektów, ani tymbardziej o komedyi, odgrywanej świadomie dla pokazania w całym brylantowym blasku serdecznych uczuć, jakiemi poeta opromienić się pragnie wobec czytelników, a zwłaszcza wobec potomności nader czułej na takie objawy — nie, tego wszystkiego znaleźć tu niepodobna, już to dla tego, że listy owe były pisane do osób rzeczywistych, częstokroć nie bardzo wykształconych, już też dla tego, że nie były przeznaczone nawet w myśli dla publiczności, zawierają bowiem niekiedy szczegóły niezbyt pochlebnie zalecające poetę. Listom owym musimy wierzyć, bo przemawia w nich szczerość. Usposobienie, o którym mowa, wolne od wszelkiego sceptycyzmu, wynikało z ówczesnego nastroju ducha wśród klasy wykształconej, a zwłaszcza wśród inteligencyi. Warto się z nim zapoznać z wiarogodnych źródeł.

Bürger, śpiewak *Lenory*, owej balady co to, jak nam opowiada Chodźko w dwu konwersacyjach z przeszłości, pośredniczyła w zapoznaniu Mickiewicza jeszcze na ławach uniwersyteckich, z nowym światem poezyi, pełnym czarów, upiorów, srebrnych promieni księżyca, śpiewów słowika i ponurych hukań sowy, — daje nam jeden z przykładów takiego usposobienia. Burzliwie przepędziwszy czas studyjów uniwersyteckich [1]), mając rok 24-ty został urzędnikiem sądowym w małej mieścinie Gelliehausen (w Hanowerskim), gdzie zaraz z samego początku musiał dużo wycierpieć ze strony—to pastora, to swoich zwierzchników, to swoich znajomych wreszcie. Czekając nieraz lata całe na wypłatę nędznej pensyi, miał przytym nieszczęście zapoznać się z pewnym zręcznym a przewrotnym człowiekiem, radcą dworu Ernestem Ferdynandem Listn, który wziąwszy od biedaka 700 talarów, czmychnął gdzie pieprz rośnie, a jemu zostawił na pociechę... swoję żonę, w dosyć podeszłym już wieku. Bürger, jak rycerz romantyczny, kruszył kopije w obronie nietylko honoru swej damy, ale i jej zagrożonego utrzymania. Zadłużał się sam, ażeby tylko nie dopuścić licytacyi ruchomości niewdowiej wdowy... Byłato osoba niezmiernie wrażliwa, marzycielsko-egzaltowana, lubująca się w poezyi i we wszystkim, co tajemnicze i groźne. Na jej cześć mniej znani wieszcze ówcześni (jak Gemmingen, Zachariä, J. M. Miller, K. F. Cramer) układali wiersze pochwalne. Cramer uczcił ją bardzo modną w ówczesnej mowie poetycznej nazwą „orlicy" (Adlerin), chociaż w listach zazwyczaj nazywa ją „die honnete Matrone". Inny poeta Boie, przyjaciel Bürgera, uważał listy, które pisała do Gemmingena za najlepsze, jakie w języku niemieckim kiedykolwiek były napisane, pomimo, że poszanowaniem.... *ortografii* wcale nie grzeszyły. Była ona prócz tego wielbicielką sławnego fantastyka-fizyjognomisty Lavatera, i utrzymywała, że *obcuje z duchami*.... Dla Bürgera stawała się ona pobudką do uzewnętrzniania poetycznego zapału. Wkrótce po zapoznaniu się z nią pisał do Boiego: „Moja miła, dobra *jak anioł* gospodyni, zachęca mię, żebym napisał *wiośniankę*, któraby odznaczała się właściwym sobie a różnym od wszystkiego, co dotychczas wyśpiewano, zwrotem." W 3 miesiące potym: „Kobieta, posiadająca cały twój szacunek, będzie kiedyś moją towarzyszką w *rajskich* altanach (in den paradiesischen Lauben); a nowy rodzaj pieśni, przedmiot moich obecnych zajęć, muszę natychmiast tej *pięknej duszy* poświęcić. Bo gdzież jest jaka inna jej płci, coby do *duszy anielskiej* tak podobną była?"

Istotnie niedługo potym napisał Bürger poemat: „Do Agaty; porozmowie o nieśmiertelności", przepełniony serafficznym zachwytem, w którym dziwna owa marzycielka szukała pociechy i wynagrodzenia za prozaiczne cierpienia życia powszedniego. „Lenora" znowu (napisana 1773) zrobiła tak silne wrażenie na jej umyśle, że po wysłuchaniu kilku strof doznała niesłychanego wzruszenia a przez noc całą spać nie mogła. Była już wówczas trochę chorą, a w kilka miesięcy potym popadła w nieuleczone obłąkanie. Bürger, patrząc codziennie na jej cierpienia, smutniał coraz bardziej. Nie mógł sam wreszcie podołać i przywołał jej męża, ażeby przyszedł dzielić z nim razem smutki i kłopoty, chorobą żony spowodowane.

To było pierwsze silniejsze uczucie, jakim młode serce poety przejęte zostało. Czy ono było przyjaźnią czy miłością—to mniejsza, dla nas są ważne owe przymiotniki pochlebne, któremi jak inni poeci tak i on bez żadnego skrupułu, bez zająknięcia się obdarzali „poczciwą matronę." Że to uczucie nie było głębokim ani długotrwałym, przekonamy się natychmiast.

Podczas choroby poczciwej a nieszczęśliwej matrony zaczął Bürger uczęszczać do domu pewnego urzędnika, nazwiskiem Karola Leonharta w Niedeck. Byłto poczciwy serdeczny człowiek, lubiący dobrze zjeść, dobrze wypić ale tylko w dobrym towarzystwie, które zjednywał sobie swoją jowialną dobrodusznością. Stół jego gościnny zawsze i dla wszystkich był otwarty—a pomimo niezgody dochodów z rozchodami, nigdy pustym nie bywał.

Pan Leonhart lubił prócz tego polowanie, grę w karty i wesołą gawędkę przy kieliszku wina; o resztę dbał nie wiele. Ośmioro dzieci rosło sobie jak Pan Bóg dał, bez nadzoru i bez ścisłej nauki; pomimo to wykształcenie ich, jak zapewniają, było cokolwiek wyższe nad przeciętną wykształcenia tłumu. Zasady wychowania Rosseau'a, podniesione do wysokiej potęgi, musiały skądsiś zalecić do tego domu. (*d. c. n.*)

[1]) Poniższe szczegóły o Bürgerze czerpiemy z artykułu Strodtmanna, pomieszczonego w *Gartenlaube* z r. 1873, N. 50.

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Lipsk 22 Grudnia 1873.

(Wykłady w uniwersytecie. — Seminaryja. —Dysputatoryja-Vereiny).

Jeśli pod względem poglądów panuje w uniwersytecie lipskim pocieszająca rozmaitość; to *sposób* wykładów grzeszy niestety! mechaniczną niemal jednostajnością. Większa połowa profesorów zwyczajnych, nadzwyczajnych i prywatdocentów — jak prawie wszędzie w Niemczech północnych,—czyta swoje prelekcyje z kajetu i to co przeczyta, *dyktuje*, zupełnie tak samo, jak w gimnazyjum. Do paragrafów podyktowanych dodają jedni, dłuższe, drudzy krótsze objaśnienia, omawiające bliżej to, co się poprzednio zwięźle powiedziało. Taka metoda wykładania za pomocą dyktowanych paragrafów, ma zapewne swoję dobrą stronę, gdyż przyzwyczaja studenta do śmiałego wyrażania się i zapobiega niezrozumieniu lub przeinaczeniu myśli profesora, co przy ustnym wykładzie nieraz się przytrafia a dalej uwalnia poczęści studentów od kupowania książek—ale bądźcobądź nie odpowiada zadaniu studyjów uniwersyteckich, gdyż każe uważać słowa profesora za święte i nietykalne, za coś tak obowiązującego jak twierdzenia gieometryczne, które, jak wiadomo, w gimnazyjum zwykle dyktowane bywają. Powtóre metoda taka zabiera dużo czasu, który dyktowanie pochłania; skąd wynika, że kursy, na semestr przeznaczone, są zazwyczaj w całości swojéj niezmiernie krótkie, tak dalece, że przy ustnym wykładzie mogłyby być najwyżej w przeciągu półtora miesiąca wypowiedziane. To szkolarstwo w sposobie wykładu rozciąga się nawet tam, gdzie jak się zdawaćby mogło, nigdy miejsca mieć nie powinno: rozciąga się i do *historyi* filozofii (bo historycy polityczni na szczęście téj wady nie mają). Można tu posłyszeć wykład dziejów *dyktowany* z całą ścisłością nie tylko dat chronologicznych ale i cytat z autorów!!..., i to przez ludzi zupenie młodych. Prawda i to, że wykłady takie bardzo niewielką liczbę studentów ściągają... co mi się rzeczą dziwną wcale nie wydaje, gdyż potrzeba cierpliwości niesłychanej, ażeby na takiéj prelekcyi, trzy kwadranse trwającej, mógł to wysiedzieć spokojnie, zwracając baczne ucho na wszystkie cytaty, ale to tylko dziwna, że takie wykłady w uniwersytecie jeszcze istnieją! Nie bądźmy jednakże pesymistami i nie wyciągajmy przedwczesnego wniosku np. takiego: ponieważ *sposób* wykładów jest szkolarski, cały uniwersytet nic nie wart. Broń Boże! Są rzeczy godne uznania i wielkiego uznania. Np. *seminaryja*. Seminaryja są to zebrania studentów w *samym gmachu uniwersyteckim* pod przewodnictwem profesora, u którego zwykle się na nie młodzież zapisuje, oczywiście całkiem bezpłatnie, chociaż można być także poprostu słuchaczem. Na tych zebraniach odbywa się zazwyczaj powtarzanie przez studentów tego, co stanowi przedmiot wykładów; przyczym praktykuje się egzamin ustny i wypracowania pismienne. Te ostatnie poddają się naprzód pod krytykę reszty studentów, a później pod krytykę profesora. W seminaryjach można robić zarzuty profesorowi, prosić o bliższe wyjaśnienie traktowanej kwestyi; podawać jakieś nowe, nieznane większości szczegóły, odnoszące się do przedmiotu wykładu i t. p. powodzenie, znaczenie takich zebrań zależy tak jak wszędzie—od osobistości profesora, jeden odbywa je zanadto po szkolnemu, przywłaszczając sobie dyktatorskie prawo rozkazywania, co i jak ma być robionym—przez co z przewodnika studentów uniwersytetu, staje się zwykłym korepetytorem; drugi pozwala umysłowym siłom młodzieńczym swobodniéj pobujać i sprobować się z trudnościami nauki na własną rękę z tym jednakże warunkiem, ażeby te siły nie chciały przekraczać szranek jego własnego systemu; inny wreszcie pozostawia pole swobodnej i niczym nieskrępowanéj dyskusyi zupełnie wolne.— Wyjaśnianie autorów, czytanie zeźródeł (historycznych lub historyczno-filozoficznych), poglądy z dziedziny ekonomiki i socyjalistyki, zapoznawanie się z ziemią i jéj płodami, psychologia, pedagogika i t. p.—oto przedmioty rozbioru i zastanawiań się na posiedzeniach takich seminaryjów, ściśle z uniwersytetem złączonych. Oprócz nich istnieją

swobodne, bardziéj niezależne, ale w każdym razie zatwierdzone przez uniwersytet zebrania. Zostają one albo pod przewodnictwem profesora; albo też pod przewodnictwem komitetu, spomiędzy studentów wybranego.

Najsławniejsze zebrania pierwszego rodzaju urządza prof. gospodarstwa narodowego p. Birnbaum—w restauracyi zwanéj *Tivoli*. Podczas gdy w seminaryjach zaledwie kilku lub kilkunastu studentów pracuje nad komentowaniem źródeł, albo rozprawia nad kwestyjami poruszonemi w wykładzie, w Tivoli zbiera się kilkaset studentów, którzy przy kufelku piwa przysłuchują się rozprawom dotyczącym *kwestyj czasowych* jak np. stosunki państwa do kryz giełdowych, rodzajów podatków, ceł i t. p. Tu panuje największa swoboda, każdy w najostrzejszych nawet słowach może wypowiadać swe zdanie, chociażby zupełnie sprzeczne z tym, co profesor utrzymuje.. Przewodniczący zapowiada na tydzień przed dniem dyskusyi jéj przedmiot; każdy więc z życzących sobie w niéj uczestniczyć, może się dostatecznie przygotować, może sobie wyrobić pewne przekonania. Przyszedłszy na posiedzenie, przewodniczący po krótkiéj przemowie stawia kwestyją i pyta się, kto pragnie o niéj pomówić. Zgłaszający się są wpisywani na listę i podług niéj otrzymują głos. Wywiązuje się rozprawa: jeden stawia zarzuty, drugi je stara się zbijać; jeden i drugi zyskuje stronników albo modyfikatorów. Kiedy szermujący nie mają już nic więcéj do powiedzenia; przewodniczący po zapytaniu, czy nie ma już nikogo, coby chciał w traktowanéj materyi przemówić i po otrzymaniu przeczącéj odpowiedzi, zabiera głos, sumuje dowody za i przeciw i wypowiada własne zdanie. Jeżeli ktoś nie jest z tego wyrzeczenia zadowolony, może prosić o głos; poczym znowu zawiązują się debaty, dopóki kwestyja zupełnie się nie wyjaśni, albo dopóki znużenie nie położy końca słownéj szermierce. Przy zamknięciu dyskusyi zapowiada przewodniczący przedmiot rozpraw, mających się odbyć znowu za tydzień.

W ten sposób młódź niemiecka przygotowuje się do przyszłego żywota, ucząc się cenić wartość słowa, i wyrabiając w sobie praktycznie przekonania społeczne. Nie można wprawdzie powiedzieć, ażeby choć połowa owych kilkuset studentów zbierających się w Tivoli, czynny brała udział w rozprawach;—nie; zazwyczaj liczba ochotników ogranicza się do kilkunastu; reszta słucha tylko uważnie. Jak wszystko, co nazywamy czynem, tak i rozprawy takie potrzebują częstéj wprawy, częstego powtarzania, jeżeli mają się stać istotnym, dobroczynnym czynnikiem życia publicznego. Młodzież w Niemczech zaczyna się dopiero wprawiać i ćwiczyć; a liczne uczęszczanie na dysputy naukowe, trwające kilka godzin, wiele każe przypuszczać o ich zamiłowaniu do tego rodzaju zajęć umysłowych. Stowarzyszenia studenckie pod przewodnictwem komitetu spośród samych studentów wybranego, których miejscem zebrania bywają również restauracyje, istnieją w Lipsku w wielkiéj obfitości. Statuty ich muszą być potwierdzone przez władzę uniwersytecką. Stowarzyszenia te (Vereine) są albo czysto-knajpowe (burszenszafty,) których sława i znaczenie z dniem każdym się zmniejszają, albo specyjalnie zabawie poświęcone np. akademicki klub *szachistów;* albo też zajmują się jakimś przedmiotem naukowym. Te ostatnie są najliczniéj reprezentowane. Są tu vereiny filologiczne, przyrodnicze, matematyczne, teologiczne, misyjne, filozoficzne, ogólne akademickie, czytelnicze (Akademische Lesehalle) i t. p. tak że każdy specyjalny fach ma w osobnym stowarzyszeniu młodych przedstawicieli, którzy zwykle co tydzień miewają odczyty, poddawane pod ogólną rozwagę i krytykę. Na zgromadzenia tych stowarzyszeń uczęszczają także profesorowie, a szczególniej młodzi docenci, i jużto jako członkowie honorowi, jużto jako goście, miewają odczyty, również krytyce, chociaż nie tak często jak zwyczajne, poddawane. Profesorowie ci jednak do żadnego przewodnictwa nie mają pretensyi; uważają się poprostu za studentów tylko. Najwięcéj powodzenia ma stowarzyszenie filozoficzne (podobno jedyne w całych Niemczech) istniejące w Lipsku już od lat kilku.

Goście, nie należący do stowarzyszenia, są zapraszani i przyjmowani z wielką chęcią; głos mogą zabierać narówni ze stowarzyszonemi. Porządek, powaga, jakie w takich zebraniach zwykle panują nie przeszkadzają wcale po skończonych debatach wesołości, objawiającéj się czasami nawet dosyć naiwnie. Stowarzyszenie np. filozoficzne na ostatnim swoim posiedzeniu przed Bożym Narodzeniem kupiło *choinkę*, przystrojoną w świece, orzechy, cukierki, bębenki, szczypczyki i t. p. cacka, i z wielką powagą postawiło ją na środku pokoju, w którym słuchało przed tym rozprawy o logice. Niewinna zabawa!—ani słowa. Wielkie zagadnienia filozoficzne nie przeszkadzają stowarzyszonym schodzić do drobnostek... świata dziecinnego. Taki to już obyczaj niemców, którzy wszystkie sprzeczności nauki i życia pogodziéby chcieli...

P. Ch.



„Swiat i dzieci, czyli nauka o rzeczach“ wyłożył metodycznie *August Jeske*, Warszawa—nakładem księgarni Stanisława Areta w Lublinie.

Zasłużony już dobrze na polu pedagogicznej naszej literatury p. August Jeske, w dalszym ciągu przedsięwziętego wydawnictwa p. t.: „Systematyczny kurs nauk“ oddaje obecnie na użytek ziomków pod powyższym nagłówkiem piérwszą część „nauki o rzeczach“, która jak już ogólnie wiadomo, naukę czytania stanowczo poprzedzić winna. Książka ta, przeznaczona dla dzieci od lat 5-ciu do 7-miu, ma „systematycznie“, „na podstawie nauki poglądowéj“ pod kierunkiem odpowiedniego przewodnika i przy pomocy dołączonych do tekstu 15-stu kolorowych tablic, wyjaśnić przyszłym *ludziom-obywatelom* wszystkie zagadki „najbliższego“ ich „światku.“ Zobaczymy, jak autor spełnił swe zadanie.

Łatwo pojąć, że „nauka o *rzeczach*“, aby zmierzała do właściwego celu, musi się przedewszystkim opierać na *rzeczach*, przy niemożności zaś nagromadzenia pożądanej liczby przedmiotów i przyjętych z góry warunków ścisłego systematu—na *dobrych modelach* lub *dobrych rysunkach*. Rzecz, model i rysunek—oto wykładniki analitycznych a wesołych pogawędek o rodzinie, komnatce dziecięcéj, zagrodzie domowéj, szkole i o tym skrawku szerszego świata, o téj dalekiéj panoramie, jaka się dziecku poza ojczystemi wrotami i progiem uczelni tajemniczo a barwnie zarysowuje. Cały ten światek najlepiéj się oczywiście chłopięciu w żywym swym ciele, w niepodrobionym oryginale wyjaśnia; modele tłomaczą rzecz w przybliżeniu, a rysunki—w profilu tylko i połowicznie. Autor, jako zwolennik ścisłego systematu, chcąc nie ogólną wskazówkę, lecz podręcznik, w całym znaczeniu tego wyrazu, podać do ręki rodzicom, *musiał* za podstawę swych pogawędek i praktycznych z działkami ćwiczeń wybrać najgorszy spomiędzy trzech środków, rysunek. Żadnego więc z powodu tego wyboru nie możemy mu robić zarzutu; tymbardziéj, że nietylko pożyteczne, lecz zarazem ze względu na cenę i dla ogółu naszych rodzin przystępne dziełko dać pragnął. Obrazki te jednak nie odpowiadają niestety swojemu zadaniu; są bowiem mimo pozornej elegancyi zbyt niewyraźne i bardzo często tak pod względem barwy jak i rysunku mijają się z objaśniającym je tekstem. Mamy nadto za złe wydawcy i autorowi, że gawędy, praktyczne wskazówki i wierszyki wraz z obrazkami w jednej pomieścił książce; pierwsze (opowiadania, zagadki, piosenki) powinny być ciągle przed oczyma rodziców, pedagogów i wogóle kierowników młodziutkiego pokolenia, drugie—przed oczyma dziatek. Wprawdzie wolno się nam domyślać, że autor pragnie tym sposobem chłopięcą drużynę, obznajmiającą się z wizerunkami przedmiotów, zapoznać jednocześnie i prawie bez ich wiedzy ze znakami wyrazów. Ależ to w każdym razie robota w téj epoce przedwczesna i dogodność w porównaniu z głównym przeznaczeniem tekstu i obrazków drugorzędna.... Drugim, ważniejszym zarzutem, jakibyśmy p. A. J. już nie ze stanowiska techniki, lecz pedagogiki umiejętnej ośmielili się zrobić—byłby zarzut nie powiemy zbytecznego przenoszenia się w świat dziecinny (nie możnaby bowiem poczytywać tego za wadę, co stanowi zaletę), lecz zbytecznego *przedrzeźniania* temu światkowi, a stąd wyprzedzania gienetycznie odrębnych zgoła dziecinnego umysłu produkcyj. Do takich np. omyłek liczymy między innemi poważną gawędę o „grzecznej lalce.“ Nie możemy brać za złe dzieciom, gdy noszącej ludzką postać masce ludzkie przypisują cechy; lecz nie widzimy poza ślepemi kierunkami, żadnéj wystarczającej przyczyny do uprzedniego z naszej strony zaszczepiania podobnych w dziecinnym umyśle na maski i obrazy poglądów; tymbardziéj, że rodzą one potym prawdopodobnie w umysłowym organizmie chorobliwą, a tak powszechną jeszcze u nas skłonność do przyjmowania pozoru, za rzeczywistość—wyrazu i symbolu za rzecz samę.

Systematyczny układ zamkniętych w książce obrazków i pogawędek nie wiele pozostawiałby do życzenia, gdyby podjęta przez autora nić pogodnej analizy, ostrożniéj nieco i bez przeskoków ze swego kłębka wysnuwaną była. Ale i tu są zdaniem naszym pewne niedokładności. Autor wprawdzie zaczyna, jak powinien, od domu i ojczystéj zagrody, przechodzi późniéj z małym swym druhem do ogrodu i szkoły; lecz następnie, zamiast do wioski—do miasta go wiedzie, i potym dopiero bardzo szczegółowo ogląda sioło, aż nakoniec, nachodziwszy się dowoli po gajach i łąkach, w głuszy leśnéj ginie.... Lecz to jeszcze nie zarzut; do takiego układu mógł autor mieć swe słuszne powody; nie umiemy jednak sobie wyjaśnić pomimo sprawdzonej w książce konsekwencyi i porządku rozwijanych wyobrażeń, co go, ze stanowiska trzeźwéj pedagogiki skłoniło do opowiadania tuż przy właściwych określeniach pożytku krów, kóz i wołów, „o śnie Faraona.“ Rzecz to przecie dla pięcioletniego dziecka zupełnie ciemna i wymagająca jak się zdaje dość trudnych, poprzednich wyjaśnień?

Kończąc pobieżną ocenę, wyznać musimy, że pomimo wad powyższych, których może uniknąć pedagogowi na danym stanowisku było niepodobna, książka p. Jeskiego odznacza się wogóle cechą postępowej metody, właściwym rozgospodarowaniem się w dziecięcym światku, czystym językiem i bardzo szczęśliwym ze względu na prostotę myśli

i śpiewność rytmu doborem pomieszczonych w książce tej wierszyków. Dziełko to, równie jak i całe wydawnictwo p. Jeskiego nie wchodząc wogóle w wyraźną kolizyją z przedsięwziętą przez nas publikacyją „biblijoteki domowej" może stanowić prawdziwą w dziejach wychowawczej literatury epokę i konieczne trudu naszego dopełnienie.

Po tym, cośmy powiedzieli, zbyteczną by było jak się zdaje zachęcać czytelników naszych do zaopatrzenia się w wydany przez p. A. J., a niezbędny dla rodziców i kapłanów elementarnej pedagogiki podręcznik. (Cena w oprawie—rs. 1 k. 20). *A. G. B.*

ROZMAITOŚCI.

— *Zdawkową* monetę Bawaryi zaczęto wybijać z niklu. W ostatnich dniach mennica króleska wybijała z tego kruszcu dziesiątki fenigowe na kilkanaście tysięcy mark.

— Niejaki p. Mehrmann z Regensburga dawał niedawno w Cieplicach Czeskich koncert publiczny na nieznanym jeszcze dotąd instrumencie, bo na łyżce kuchennej! Mistrz z wielką brawurą odegrał z towarzyszeniem gitary „Karnawał Wenecki" „Marsz Radeckiego" rozmaite potpourri i t. p. Oryginalny ten instrument w ogóle przypominać ma tak zwane słomiane lub drewniane harmonijki. Na oko zdawałoby się, że wydobywanie tonów z niezgrabnego instrumentu jak łyżka, jest rzeczą bardzo prostą, a jednak wirtuoz przez dwadzieścia lat prawie pracował z całym zaparciem się siebie nim doszedł do dzisiejszej świetności.

— *Podatek* od psów we Francyi przyniósł w r. z. przeszło 5 milijonów franków kasie państwa. Liczba psów wynosiła 1,860,114 sztuk, z których 495,322 psów pokojowych i myśliwskich, zaś 1,364,792 podwórzowych.

—Międzynarodowe stowarzyszenie poetów, zawiązuje się za inicyjatywą poetów francuskich. Stowarzyszenie stawia sobie za cel ściślejsze połączenie poetów wszystkich narodowości, a obok tego rozwój ich praktycznych interesów.

Każda narodowość stanowić ma sekcyją stowarzyszenia i pozostając w nieustannym z nim związku ma być powiadamianą o najświeższych płodach literackich wszystkich narodów. Celniejsze utwory poetyckie członków stowarzyszenia mają być tłomaczone na wszystkie języki i rozpowszechniane czy to drukiem czy przez scenę, a tym sposobem publiczność cywilizowanego świata zaznajamianą z literaturami wszystkich narodów. Jeśli utwór nie zostanie przyjęty do tłomaczenia przez komitety rozpoznawcze sekcyjne, natenczas będzie przynajmniej krytycznie omówionym w organach publicznych stowarzyszenia. Każdy autor prześle tym celem zarządowi stowarzyszenia tyle egzemplarzy swego utworu, ile będzie sekcyj. Utworzeniem stowarzyszenia zajmuje się najgorliwiej poeta francuzki p. Camille Mendes w Paryżu, a już nawet podobno zawiązały się sekcyje w Rossyi, Holandyi, Hiszpanii, w innych krajach odbywają się rokowania.

— *Czasopismo* dla pszczolarzy p. t. „Gazeta pszczolnicza" świeżo wychodzić zaczęło w Kołomyi, za staraniem tamtejszego Stowarzyszenia sadowniczo-jedwabniczego, pod redakcyją p. Tytusa Tchórzewskiego.

— *Franciszek* Wiktor Hugo, syn sławnego francuskiego poety zmarł w 45 roku swego życia. Poeta traci w nim ostatnie swe dziecko. Zmarły zajmował się dziennikarstwem i literaturą.

—*Zapałkom* fosforowym wypowiedział parlament duński zupełną zagładę. Uchwalił ustawę, mocą której ogranicza się sposób przyrządzania tych zapałek, tak że sprzedawane być mogą odtąd w handlu publicznym tylko tak zwane u nas „szwedzkie zapałki" zapalające się w skutek potarcia o przyrządzoną umyślnie w tym celu pocieraczkę. Minister sprawiedliwości motywując, odnośny wniosek rządowy, dowiódł bardzo wyraźnie, ile szkodliwemi są powszechnie używane zapałki fosforowe, ze względów zdrowia zarówno, jaki bezpieczeństwa publicznego. Przytoczył między innemi że w liczbie 32 wypadków samobójstwa przez otrucie się, doszłych do wiaoomości sądów w ciągu ostatnich 15 lat, 18 dokonanych było główkami zapałek, a 5 pigułkami fosforowemi. Z cyfry pożarów 6% wypada na karb używania fosforowych zapałek.

EKONOMISTA

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone, Gospodarstwu społecznemu, statystyce i administracyi,

rozpoczyna z r. 1874 **dziewiąty** rok istnienia. Wychodzić będzie nadal w zeszytach miesięcznych od 3—5 arkuszy druku, z końcem każdego miesiąca. Jakkolwiek obfitość napływającego materyjału oraz wcielenie do „Ekonomisty" niektórych rubryk „Merkurego" (obecnie „Gazety Przemysłowo-Rzemieślniczej"), zwiększyły objętość pisma przeszło o **dwadziescia** arkuszy druku, cena jego prenumeracyjna jednak pozostaje bez zmiany.

Mimo trudności napotykanych w wydawnictwie u nas pisma treści specyjalnej, jakim jest „Ekonomista," Redakcyja niczym się nie zrażała, by pismo swe uczynić dostępnym i zajmującym dla szerszego koła czytelników. Stosownie do uczynionej zapowiedzi, usiłowała, ażeby niezależnie od artykułów teoretycznych, traktowane były także kwestyje bieżące ekonomiczne, odnoszące się do stosunków krajowych. W ciągu ubiegłych dwu lat ostatnich „Ekonomista" podawał krytyczne sprawozdania *o naszych drogach żelaznych, bankach, instytucyjach kredytowych, towarzystwach ubezpieczeń i spółdziaławczych;* zbierał ile się dało różne daty i materyjały *statystyczne* krajowe, *ustawy* nowo powstających u nas instytucyj publicznych i ważniejsze *rozporządzenia rządowe,* w dziedzinie ekonomicznej wydawane. Z obszerniejszych oryginalnych prac zamieścił między innemi:

1. *O kredycie rolniczym ze stanowiska prawa obowiązującego,* p. J. Kirszrota.
2. *Rys statystyki porównawczej miasta Warszawy,* p. Wit. Załęskiego.
3. *O produkcyi żelaza w b. skar. zakład. w dolinie rzeki Kamionnej,* p. Z. Fudakowskiego.
4. *O istocie i systemach ubezpieczeń z dodaniem wiadomości o działających w Królestwie Polskim instytucyjach asekuracyjnych,* p. Br. Mayzel.
5. *O gminie, jej organizacyi i stosunku do państwa,* p. Dr. A. Rembowskiego.
6. *Wyzwolenie ekonomiczne kobiety,* p. Edw. Prądzyńskiego.
7. *Monopol solny w Krolestwie Polskim,* p. H. R.
8. *Przyczynek do historyi statystyki: Süssmilch i Quetelet,* p. Dr. A. Jełowieckiego.
9. *O towarzystwie petersburskim osad rolnych i przytułków rzemieślniczych,* p. Prof. Dr. W. Miklaszewskiego.
10. *Wpływ klimatu na Państwo,* p. Prof. Dr. J. Oczapowskiego.
11. *Niektóre wiadomości o zarządzie finansowym górnictwa skarbowego,* p. K. Majewskiego.
12. *Kwestyja podwyższenia płacy robotnika,* p. Ig. Sołdraczyńskiego.
13. *O drenowaniu i jego wpływie na wzrost bogactwa krajowego,* p. inż. A. Sadkowskiego.
14. *O wynagrodzeniu szkód pożarem zrządzonych,* p. Br. Mayzel.
15. *Wymiana dóbr i jej mechanizm, jako wstęp do teoryi kredytu,* p. Prof. Dr. M. Bochenka.
16. *O Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie i jego zakładach,* p. Br. Mayzel.
17. *O Stowarzyszeniach,* p. Wit. Załęskiego.
18. *O wystawie powszechnej wiedeńskiej,* p. A. W.

Nadto w obszernym dziale **Kroniki ekonomicznej,** Redakcyja powiadamiała o stanie i ruchu ekonomicznym, tak w kraju jak za granicą, zaś **Przeglądy i Notatki biblijografic** zaznajamiały czytelników z nowo pojawiającemi się pracami w dziedzinie nauk społecznych.

Usiłowania Redakcyi jednakże wtedy dopiero zupełnie pomyślnym uwieńczone być mogą rezultatem, gdy nietylko publiczność przez prenumeratę zasilać ją będzie środkami materyjalnemi, ale zarazem, gdy ludzie fachowi, świadomi ekonomicznych stosunków i potrzeb kraju, zechcą udzielić jej swego czynnego poparcia, przez nadsyłanie prac odpowiednich. *W tym celu właśnie Redakcyja czyni niniejszą odezwę do ludzi dobrej woli, do wszystkich tych, którym stan materyjalny i moralny kraju nie jest obojętnym i którzy uznają użyteczność specyjalnego organu prasy, aby jej swej pomocy udzielić raczyli.*

Rok 1874 uważamy za ostatni rok próby. Nie mamy powodu taić, że dotychczas nie szczędząc trudów i pracy, wydawaliśmy „Ekonomistę" kosztem znacznych stosunkowo ofiar materyjalnych,—tak ze strony samego redaktora, jako też osób które w poczuciu obywatelskiego obowiązku do wydawnictwa rękę przyłożyć zechciały, — jedynie w tym głębokim przeświadczeniu, że wobec wymagań czasu, specyjalny organ ekonomiczny jest nieodzownie potrzebny dla naszego kraju, gdyż od racyjonalnego kształtowania stosunków ekonomicznych zależy w znacznej części pomyślny jego rozwój. Jeśli jednak ogół naszego poglądu podzielić nie zechce i *w ciągu roku przyszłego nie poprze czynniej niż dotąd* naszych usiłowań, wypadnie nam *zawiesić wydawnictwo, jako widocznie przedwczesne,* do pomyślniejszej chwili, tymbardziej, że szczupły zakres poczytności nie pozwalałby „Ekonomiście" spełniać należycie zadania, jakie wybraliśmy sobie za gwiazdę przewodnią, obejmując kierunek pisma.

Przedpłata na „Ekonomistę" wynosi **rocznie:** w Warszawie **rub. 4,** z przesyłką pocztą **rub. 5,** za granicą **tal. 5 fr. 20,** albo **fl. aust.** 8. Prenumerować można albo w Redakcyi ulica Niecała Nr. 12, albo w księgarni *Maurycego Orgelbranda* w Warszawie.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.